

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (25)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobocki

Gdy była okazja, uciekałem ze swojej redakcji, zjeżdżałem windą do dwóch pokoi-ków, gdzie siedział Zbyszek, Józef Grochowina, Kasia Grela, gdzie poznałem prof. Marię Szyszkowską, Janka Stępnia i wiele innych osobistości. Zbyszek przesiadywał tam, coś wykonywał na polecenie Jurka, ale znajdowaliśmy też czas na rozmowy. O czym? O poezji, książkach, autorach – o czym innym mogliśmy gadać?! Zwykle jednak były to rozmowy dość zdawkowe. Co słychać? Jak leci? Piszesz coś? Drukujesz? Zbyszek raczej się nie rozgadywał.

Znowu upłynęło trochę czasu, z Białego-stoku w 1991 roku przeprowadziłem się do Zielonej Góry. Ale wciąż po staremu utrzymy- wałem kontakty z kolegami – poetami z Wilna. Jeździłem więc co jakiś czas na Litwę, szcze- gólnie na zaproszenia Romka Mieczkowski-ego, który organizował rokrocznie imprezę literacką pod nazwą „Maj nad Wilią”. I tamże, chyba nawet podczas dwóch kolejnych Ma- jów, znów spotkałem się ze Zbyszkim. W cza- sie jednego z tych wyjazdów towarzyszył mu syn, z którego Jerzyna był bardzo dumny, gdyż chłopak obronił właśnie pracę magisterską. W trakcie trzech, czterech dni jeździliśmy całą grupą poetów po Wilnie i okolicy, odwiedzili- śmy Kolonię Wileńską i dom Konwickiego, czytaliśmy swe wiersze. A ja oczywiście gada- łem sobie „na boku” ze Zbyszkim, wspomina- liśmy dawne czasy, komentowaliśmy współ- czesne Wilno. W każdym razie to właśnie w Wilnie widzieliśmy się po raz ostatni. Gdy w 2010 roku wydawałem antologię „15 poetów o Polsce”, zaprosiłem do niej Jerzynę. Chcia- łem mieć jego nowy wiersz, najlepiej napisany na zadany w tytule temat, ale to się nie udało. Był w ciężkim stanie, przysłał (lub ktoś w jego imieniu) drukowany już wcześniej utwór „Źródło”. Oto on:

Zbigniew Jerzyna

Źródło

Jeśli zasypiesz źródło starodawnej pieśni?...
O tym, że na równinach od miłości nudno.
O tym, że ktoś odjechał i wysycha studnia.
Że klony zamykają w liście kropkle rosy.
Że ziarno spada w ziemię miłującym głosem.

Że między czyn a słowo łąza płonąca spada.
Że o łzie tej najłatwiej u nas opowiadać.
Że słońce naszych dziejów chyli się jak świeca.
Że Polak zawsze czuwa – Polak śpi na plecach.

I gdy wreszcie odsłoni swoje ramię praca.
To ster z obranej drogi czy powinien zbaczać?

Jeśli zasypiesz źródło starodawnej pieśni?...
Będziesz do głuchych mówić szczątkami
języka.

Zbigniew Jerzyna, urodził się 9 maja 1938 roku w Warszawie – zmarł 29 listopada 2010 roku rów- nież w Warszawie. Poeta, eseista, dramaturg. Stu- diował filologię polską na UW. Współpracował m.in. z redakcjami „Widzeń”, „Orientacji”, „In- tegracji”, „Kultury” i „Przeglądu Tygodniowego”. Pracował w MAW.

Aleksander Rozenfeld

Jako student miałem zwyczaj chodzenia na pogaduchy do redakcji zielonogórskiego „Nadodrza”; były lata 70., mieszkalem nieda- leko, na pl. Słowiańskim 12. Traktowano mnie w redakcji pisma – co podkreślałem wtedy żartem – jako syna pułku. Nieetatowego jesz- cze dziennikarza, ale mocno związanego (choćby poprzez te wizyty) z „firmą”. Tu wkle- jam – na potwierdzenie – świeży kawałek z tekstu właśnie opublikowanego na fejsbuku przez Krzysztofa Rutkowskiego, dziennikarza radiowego, kolegę z czasów studenckiego „Faktora”. Zapamiętał mnie następująco: „A tak w ogóle, co zajdę do redakcji na piętro – Gienek siedzi. Kurzawa znaczy. Też był w wtedy w »Nadodrzu«. Przebywał! Stacjono- wał, kurde! Kwaterował kątem i kantem dupy na zydelku przy wejściu, przed biurkiem pani sekretarki. Rezydent. Hipowskie długie włosy, hipowskie sandały, hipowskie myśli, hipia postawa. Coś pisał, coś klecił, jakieś wiersze, artykułki, informacje, notki. Ważne rzeczy. Zawsze pod parą. Piękne czasy, Euge- niuszu. Opłaciło się jemu i mnie nawdychać tamtej atmosfery”.

Pewnego razu wchodzę zatem do sekreta- riatu, a na „moim” krzeselku przy biurku Elż- biety Waleńskiej (sekretarki) siedzi brodaty facet i jeśli dobrze pamiętam, pali fajkę. Przy- witałem się ogólnym „dzień dobry”, Ela za- pewne odrzekła „dzień dobry, redaktorze Kur- zawa” (a może wręcz „poeto Kurzawa”), po czym siadłem na innym krzeselku. Gościa coś jednak „męczyło”. Pokręcił się na krześle, po- kręcił i w końcu zapytał, czy ja może już gdzieś drukowałem wiersze, bo nazwisko jakby mu się kojarzyło. Noooo...! To była okazja, żeby się

przedstawić jako nadzieja polskiej poezji i po- twierdzić owe publikacje. Co uczyniłem. – O – ucieczył się ów facet i zaproponował od ręki – to zorganizuj mi spotkanie autorskie. Tym sposobem od razu przeszedł ze mną na „ty”. Tak poznałem Aleksandra Rozenfelda, rów- nież poetę i polskiego patriotę. Zyda, łatwo rozpoznawalnego w każdym miejscu na świe- cie. Charakterystyczna sylwetka rzuca się w oczy. W Zielonej Górze był wtedy przejazdem i wykorzystując okazję, zgłosił się do „Nadod- rza”, proponując druk swoich wierszy.

Spotkanie zorganizowałem w akademiku „Tekturowiec”, gdzie byłem kierownikiem klubu studenckiego „Raj – Piekiełko”. Olek przybył na umówione spotkanie zgodnie z czasem. Wcześniej udało mi się zaprosić do klubu doc. Tadeusza Marguła, mieszkającego też na pl. Słowiańskim (ale w hotelu asynten- kim). Dlaczego o nim wspominać? Zdążyłem się dowiedzieć, że obaj panowie są związani z Lublinem, założyłem, że mogą się znać – co się potwierdziło. Z przebiegu spotkania poetyc- kiego niewiele pamiętam, tyle że Rozenfeld czytał swoje utwory z grubego zeszytu, ze zgromadzonych wycinków prasowych (wtedy jeszcze nie wydał książki). Ciekawiej stało się, gdy rozpoczęła się dyskusja. Właści- wie dialog Marguła z Rozenfeldem. Panowie zaczęli się wręcz przerzucać żydowskimi szmoncesami pierwszej jakości i to w znako- mitej interpretacji. Nieliczni słuchacze mieli niezwykłą ucztę. Olek nie robił ceregieli z tego, że zamiast o jego poezji, dyskusja zesza- na na dowcipy. Miał zawsze poczucie humoru. Choć jak mocne, nie potrafił ocenić, nigdy nie byliśmy w bardzo bliskiej komitywie, nie zje- dliśmy beczki soli, raczej – znajomymi z branży literacko-dziennikarskiej.

Kolejny raz spotkaliśmy się we wrześniu 1979 r. we Wrocławiu, na ciekawym wyda- rzeniu zainicjowanym przez ośrodek tea- tralny „Kalambur” Bogusława Litwińca. Kilku- nastu młodych poetów z całego kraju zostało rozwiezionych po różnych miejscach Wrocła- wia i pozostawionych gdzieś na krańcach mia- sta. Mieli szukać natchnienia w ramach, jak dziś się mówi, projektu pod nazwą „Reportaż liryczny”. Wieczorem wszystkich nas wsad- dzono do autobusu i zawieziono w góry, do Radkowa; tu przez trzy dni należało ewentu- alny efekt wrocławskiego natchnienia na- skrobać na papierze. W książce z serii „Bibuły młodych twórców”, jakiś czas później, „Ka- lambur” wydał plon tego przedsięwzięcia, dzieło nosi zaskakujący tytuł... „Reportaż li- ryczny”. Efektem twórczych skojarzeń Rozen- felda jest wydrukowany tamże „Poemat o mieście Wrocławiu”. Czy o czymś podczas tego spotkania rozmawialiśmy? Zapewne. Utkwiła mi jednak tylko pierwsza kolacja, jeszcze w hotelu „Monopol” (tak kiedyś opie- kowano się poetami!), podczas której Rozen- feld prezentował swą prywatną odezwę do poety X, którego w osobistym rankingu przy- jaciół przesuwał z miejsca nr 2 lub 4 na miej- sce 37 albo 65. Rozenfeld, choć rocznik 1941, w owym czasie zaliczał się do młodych Poe- tów, przed debiutem.

cdn.